

Ustawy gwarantujące prawa obywatelskie zwiększają zakres wolności

9 listopada 2010

Ustawy dotyczące praw obywatelskich są wyrazem stosunkowo nowych tendencji politycznych. Uważa się je za niezbędne dla zapewnienia praw mniejszościom np. Murzynom. W rzeczywistości należą do najbardziej drakońskich form interwencji w wolny rynek. Atakują istotę własności prywatnej, którą jest zdolność do sprawowania nad nią kontroli. Spowodowały ograniczenie wolności ekonomicznej, obniżenie poziomu życia, zwiększenie napięć społecznych i zwiększenie kłopotów tym, którym – w założeniu – miały pomagać.

Ustawy gwarantujące prawa obywatelskie można z grubsza podzielić na takie, które ingerują w wolnorynkowe umowy dotyczące zatrudnienia i takie, które zaliczają prywatny biznes do sfery dobra publicznego. Ustawy dotyczące zatrudnienia zabraniają dyskryminacji na gruncie zdefiniowanym przez rząd (rasa, płeć, religia i kalectwo). Są one interwencją w wolność umów, czyli w legalne prawo używania własności prywatnej w sposób, jaki właściciel uważa za słuszny.

W warunkach wymiany rynkowej dwie strony godzą się na umowę obejmującą własność którą posiadają, albo usługi świadczenia pracy, które mogą oferować i przyjąć. Obie strony spodziewają się z takiej wymiany zysku, bo w przeciwnym razie umowa nie zostałaby zawarta. Takie rynkowe wymiany zapewniają różnorodnym zasobom takie zastosowania, które są najwyżej oceniane przez ich właścicieli. Ustawy gwarantujące „prawa obywatelskie” ograniczają zakres możliwych legalnych wymian, redukując tym samym wartość użytkową pracy i własności.

Tego rodzaju ograniczenia nie tworzą żadnego społecznego zysku. Jeśli ktoś na swojej liście preferencji najwyżej lokuje działanie, które ustawa uznaje za dyskryminację, to nie może on uzyskać maksymalnej korzyści. Innymi słowy, ustawy gwarantujące „prawa obywatelskie” wymuszają pewne rezultaty, pewne wymiany rynkowe własności, które nie miałyby miejsca w systemie w pełni dobrowolnym.

W potocznej retoryce politycznej zwolennicy ustaw antydyskryminacyjnych twierdzą, iż gwarantują one prawa, ale same nie dyskryminują. Na przykład Akt o Prawach Obywatelskich (Civil Rights Act) z 1964 roku zabrania dyskryminacji wobec kogokolwiek na podstawie rasy i zapewnia, że nie będzie żadnej „odwrotnej” dyskryminacji. Niemożliwym jest jednak zabronienie pewnych rodzajów wymian bez konieczności zmuszania do innych. Ograniczając zakres wyboru oraz wprowadzając restrykcje wobec preferowanych możliwości zmusza się strony do rozwiązań i decyzji niechcianych. Stąd wszystkie ustawy dotyczące praw obywatelskich z konieczności przesuwają szalę na korzyść jednej strony. Jeśli pracodawca musi wybierać pomiędzy białym i czarnym pracownikiem, każdy z jego wyborów będzie w pewnym sensie „dyskryminujący” – dla jednej ze stron, jednak kiedy narzucona jest tylko jedna możliwa decyzja, dwie z trzech stron są pokrzywdzone. Jedynym instytucjonalnym rozwiązaniem, które zapewnia czyste warunki gry, jest takie, które zezwala każdemu na wolność umowy, co oznacza rezygnację z wymuszania przyjmowania do pracy, zwalniania czy też faworyzowania członków jakiegokolwiek grupy.

Jeśli rasizm jest problemem, rynki konkurencyjne będą zmierzały do zlikwidowania irracjonalnej dyskryminacji przy zatrudnianiu. Każda osoba jako wolny kontrahent, czując się pokrzywdzona z powodu czyjejś dyskryminacji, może zmienić pracę i zacząć pracować gdzie indziej. Niezatrudnienie dobrego pracownika z powodu jego rasy nie stanowi społecznie istotnego problemu dla pracodawcy, bowiem czyniąc w ten sposób po prostu płaci premie na rzecz dyskryminacji, której inny konkurent nie

musi płacić. Jeśli prawie wszyscy pracodawcy i firmy dyskryminują w sposób irracjonalny, jeden pracodawca może przełamać kartel zatrudniając tych odrzuconych, choć bardziej produktywnych pracowników i przez to uzyskać przewagę w konkurencji z innymi firmami.

Ustawy dotyczące praw obywatelskich mogą też w istocie powiększać dyskryminację. Pracodawcy zmuszeni do zatrudniania czy też popierania ludzi z lęku przed policją strzegącą praw obywatelskich będą przede wszystkim unikali ich zatrudniania. Ci zaś, którzy zostaną zatrudnieni z uwagi na te prawa, będą stanowili śmietankę populacji zatrudnionych, przyczyniając się do spychania na margines mniej wykształconych i mniej doświadczonych. Jednocześnie niesłuszną rzeczą jest sądzić, że wolny rynek spowoduje „daltonizm rasowy”, jako że jakiś (może nawet wysoki) stopień dyskryminacji rasowej i płciowej najprawdopodobniej będzie utrzymywał się w każdym wolnym społeczeństwie. Mogą pojawiać się spisane reguły dotyczące ubioru czy rodzaju muzyki, której wolno słuchać w biurach – czy też niepisane reguły co do tego, jak głośno ludzie powinni mówić w urzędzie. Każdy pracodawca przecież wie, że im mniejsza niezgodność co do gustów pośród pracowników, tym łatwiej jest o zgodę co do reguł dotyczących dobra wspólnego. Koreański właściciel sklepu spożywczego może chcieć zatrudnić tylko koreańskich pracowników, magazyn dla czarnych profesjonalistów tylko czarnych wydawców i dziennikarzy, a niemiecka restauracja tylko niemieckich kucharzy i kelnerów. Jakiś pracodawca może uważać, że amerykańscy Irakijczycy zostali potraktowani nieuczciwie i zechce ich popierać. Jakiś żeński klub zdrowia może zechcieć przyjmować tylko kobiety, a bar dla mężczyzn tylko dla mężczyzn. Nie ma nic złego w tego rodzaju zachowaniach, chociaż ustawy dotyczące praw obywatelskich usiłują je zlikwidować.

Oprócz pogwałcenia zasady wolnej umowy o pracę ustawy o „prawach obywatelskich” gwarantują każdemu prawo „dostępu” do „miejsc publicznej użyteczności”, takich jak restauracje, kina

i sklepy. W rzeczywistości to, co ustawy o „prawach obywatelskich” nazywają publicznym, jest w istocie prywatne. Przecież te restauracje, kina i sklepy to firmy założone przez prywatnych przedsiębiorców przy użyciu prywatnych pieniędzy. Nie powinno się wymagać od właścicieli, by obsłużyli każdego, kto przychodzi do ich firmy, tak samo jak nie wymaga się od nich, by zapraszali każdego do swojego domu na kolację. Duża restauracja w centrum miasta jest tak samo prywatna jak mały dom na wsi. Prawdziwa różnica pomiędzy tym, co prywatne, i tym co publiczne, to różnica posiadania, a nie funkcji czy położenia.

Redefiniując restaurację, teatry czy sklepy jako publiczne, ustawy o „prawach obywatelskich” wkraczają w prywatną własność ich właścicieli. Daleko im do ustanowienia sprawiedliwych zasad gry, ponieważ właściwie preferują niewłaścicieli wobec właścicieli. Kiedy wymusza się handel, prawa jednej ze stron są pogwałcone. W warunkach „publicznego dostępu” to właściciel musi poddać się żądaniom intruza. Taka jest istota socjalizmu, który zaprzecza prywatności własności. Kiedy zezwala się mniejszościom, żeby siłą naruszały prywatną własność, zmienia się cały charakter życia społecznego i ekonomicznego. Miast opierać się na wolnym wyborze i umowie, opiera się na roszczeniach i przemocy. Można zatem sądzić, że ustawy dotyczące praw obywatelskich raczej wzmocniły napięcie pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi, niż je rozładowały.

Ustawy gwarantujące „prawa obywatelskie” nie powiększyły zakresu wolności, lecz dramatycznie go zredukowały. Konflikty wokół rasy, płci, religii oraz kalectwa najlepiej pozostawić wolnemu rynkowi, który przyniesie naturalne rozwiązania.

Autor: Llewellyn H. Rockwell, Jr

Źródło: [Libertarianizm](#)